

## Kto decyduje o „wartosciach”?

**8 i 9 grudnia 2002 roku odbyła się we Wiedniu interesująca, aczkolwiek zaskakująca, gdy chodzi o jej wynik, konferencja na temat „moralności i polityki”. W konferencji wzięli udział znani referenci (m.in. R. Dahrendorf, J. Stiglitz, B. Geremek, A. Guttmann, L. Lenoir, L. Balcerowicz, R. Cooper, R. Lubbers, A. Neier, J. Grey). Została ona zorganizowana przez „Instytut Nauki o Człowieku” wspólnie z Międzynarodowym Związkiem Gazet „Project Syndicate”, do którego należy 170 opiniotwórczych gazet z 92 krajów. Poniższy artykuł zajmuje się tym tematem na podstawie konkretnego przykładu – sprawozdania, które ukazało się we wrześniu 2002 roku o „National Security Strategy of the United States of America”. Znaczenia tego sprawozdania nie wolno nie doceniać, powinno się ono przyczynić do długoterminowej zmiany orientacji europejskiej polityki, zależnej obecnie od Ameryki.**

Cieżka praca musiał wykonać Mojżesz, gdy taszczył ze stromej góry Synaj kamienne tablice z wyrytymi na nich boskimi przykazaniami. Condoleezza Rice, doradca do spraw bezpieczeństwa prezydenta Busha, ma o wiele lżej.

Zamiast kochanego Boga wzywa z za swojego wygodnego biurka *think tank*.

Dostarcza jej prosto do biura wypowiedzenie wojny niesubordynowanym na całym świecie w formie papierka zatytułowanego „The National Security Strategy of the United States of America” (NSS). Wystarczy tylko, jeśli opatrzy je miłym dla ucha tytułem „Nasze wspólne wartości” (FAZ, 19.10.2002), i już cały świat wie, jakimi prawami powinien kierować się w przyszłości.

Gdybysmy byli tak naiwni i wierzyli w wolność, samostanowienie oraz niezależność narodową, to panna Rice zaraz nam wyjaśni, do kogo należy ostatnie słowo: nie chodzi tu wcale o nasze wartości, ale o „wartości mocarstw”. To one posiadają siłę militarną, przy pomocy której narzucają swoje wartości innym państwom, mogą „wpływać na życie milionów ludzi i zmieniać historię”.

My małuczcy nie mamy tu nic do gadania. Chwała Bogu mamy teraz tylko jedno światowe imperium o niewidzianej dotąd potęgze - USA. Może teraz stawiać zadania, które „nie podlegają negocjacji” i muszą obowiązywać wszystkich: „demokracja, państwo praworządne, gospodarka rynkowa i wolny handel, wolność słowa, równe prawa dla wszystkich, poszanowanie kobiet, tolerancja religijna oraz ograniczenie władzy państwowej”. W końcu wszyscy ludzie przecież chcą i powinni żyć w „otwartym” społeczeństwie, które daje każdemu szansę spróbowania własnego szczęścia.

Brzmi to wszystko bardzo ładnie, ale jedynie dzięki rezonansowi, który puste słowa wytwarzają podobnie jak pusta przestrzeń bebna.

Demokracja wartości? Myśleliśmy zgodnie z wyznaczoną przez Josepha Schlumpetera linią („Kapitalizm, socjalizm, demokracja”), że jest ona w najlepszym wypadku techniczną procedurą do określenia ilości miejsc partii w parlamencie czy innej instytucji przedstawicielskiej, wynikiem konkurencji partii czy kandydatów o ilość głosów wyborców. Jako techniczna procedura, wnioskowaliśmy, posiada demokracja naturalnie tylko „wartość” techniczną, jak klejenie, spawanie, nitowanie lub srubowanie w celu połączenia dwóch płyt. Z moralnością czy wartościami etycznymi technika, jak powszechnie wiadomo, ma niewiele wspólnego. Techniczne procedury wybiera się i stosuje ze względu na ich celowość, wartości natomiast są celem samym w sobie. Ale demokracja tym nie jest: „żyje wartościami, których sama nie wytwarza” (W. Böckenförde), ale gwałtownie zużywa. Pozbawiona wszystkich wartości „demokracja przemienia się łatwo, jak pokazuje historia, w otwarty lub ukryty terror”, okoliczność, którą przedstawił niedawno posłom we włoskim parlamencie Jan Paweł II.

Surowsi krytycy nie przyznają demokracji nie tylko wartości w sensie moralnym, ale upatrują w niej po prostu brak wartości. Jest „Wielkim Kłamstwem” już, gdy chodzi o samo słowo: „ludowładztwo”. „Lud nie panował jeszcze nigdy w żadnym sensie”, tak twierdzi sławny Sir Karl R. Popper, którego setną rocznicę urodzin właśnie obchodzimy. „Demokracja dzieli naród”, wiedział o tym zamordowany w więzieniu politycznym przez oprawców „demokratycznego” państwa C.Z. Codreanu, osłabia go i korumpuje jego klasa polityczna, właśnie, dlatego państwo i naród stają się łupem ciemnieców - własnych rodaków lub zagranicznych mocarstw. Przeważnie są to obie grupy, które w często niewidoczny sposób, poprzez „operacje specjalne” i przy pomocy sporych łapówek dla polityków, grup opozycyjnych, dziennikarzy i innych „liderów opinii” budują niemożliwe do rozerwania i nie zmieniające się w wyniku żadnych wyborów sytuacji. Gdyby było inaczej, to już dawno zlikwidowano by wybory, zauważył kiedyś cynicznie, jednak ze znajomością rzeczy, Berthold Brecht.

Terror zaczyna się zawsze od kłamstwa. Jest to powód – przypomniał o tym Rudolf Burger w poważnej gazecie DIE PRESSE (26.2.2000) – dla którego „*télos*, czyli ukrytym czy wewnętrznym celem demokracji nie jest wolność, ale dyktatura i terror”. „Wiedzieli o tym wszyscy zajmujący się nauką o państwie, od Platona przez Kanta do Hegla”, mówi dalej Burger. Mogłoby spokojnie kontynuować te wyliczanki aż do naszych czasów, choćby do Carla Schmitta - Thomasa Hobbesa w XX w., J.B. Talmona z Hebrew University („The Origins of Totalitarian Democracy”) czy E.v. Kuehnelt-Leddihna, niestrudzonego oskarżyciela demokracji jakobinckiej. Ojcowie Założyciele Stanów Zjednoczonych, co do jednego arystokraci, jeżeli nie z urodzenia, to arystokraci ducha, „brzydzili się demokracją bardziej niż grzechem pierworodnym”. Unikali starannie, choćby wzmianki o „demokracji” w swojej konstytucji. Ta tradycja sięga aż do podręcznika szkoleniowego dla amerykańskich oficerów zawodowych (TM 2000-25), w którym napisano „demokracja kończy się ostatecznie na demagogii, rozwiązłości, dzięki agitacji i anarchii”.

Już dawno cała ta gadanina o demokracji okazała się „mydleniem oczu naiwnym”. Jest rzeczą niemożliwą, aby zwalczyć terror demokracją, która sama jest terrorem! Bynajmniej nie tylko w swojej łagodnej formie terroru wobec przekonanych zwanej „poprawnością polityczną”, która ostatecznie, co najwyżej może kosztować życie. Dla Colina Powella, amerykańskiego ministra spraw zagranicznych, nawet morderstwo polityczne jest dla USA legalnym środkiem demokratycznej polityki. Dlaczego by nie, w końcu zostało to już przecwiczone we własnym kraju przez morderstwa popełniane na prezydentach i ministrach sprawiedliwości.

Praworzadność, do której przykładał tak wielką wagę we Wiedniu również Lord Dahrendorf H. Lelsen, najslawniejszy przedstawiciel „czystej nauki o prawie” nie pozostawia wątpliwości - praworzadne były również norymberskie ustawy rasowe.

Praworzadne jest obecnie bezkarne zabijanie niewinnych dzieci, w niektórych krajach również niepełnosprawnych lub starych ludzi. „Demokratyczne reżimy”, tak przedstawiono krzyczącym z przerażenia dobrym ludziom, „różni się dzisiaj od narodowego socjalizmu między innymi tym, że mordercy zza biurka à la Eichmann zostali zastąpieni głoszącymi mordercami w ławkach parlamentu, z tym skutkiem, że dziś zabija się całkowicie legalnie dziesięć razy więcej niewinnych niż Żydów, których kazał nielegalnie zamordować lub zagazować Hitler.” Nie jest to piękne porównanie, z pewnością, ale nie można upiększyć faktu, że na przykład w USA „prawo człowieka” należne kobiecie do zabicia nienarodzonego dziecka chronione przez konstytucję od 1973 roku, na co zwraca uwagę Pat Buchanan (ZUR ZEIT z 6.12, nr 49/02), przyniosło tam od tego czasu śmierć dla 40 (!) milionów dzieci. Nowy holocaust w ojczyźnie demokracji!

Gospodarka rynkowa? To, co dziś nazywa się gospodarka rynkowa to zlepek polityki i wielkiego biznesu, wojny i ropy naftowej, zbrojen i interesów, wielkich badań i wielkiej biurokracji, masowej produkcji i masowej konsumpcji, masowej rozrywki i masowej manipulacji, napędzanych nienasyconą „żądzą zysku i pragnieniem władzy” oraz wszelakiego rodzaju subwencjami. Papież w Rzymie nazywa to otwarcie „struktura grzechu”, i kto może mu zaprzeczyć? „Wolna” gospodarka rynkowa doprowadziła do ogromnego skupienia władzy, przede wszystkim w dziedzinie wielkiej finansjery. „Kredyt, element życia gospodarki”, żeby ponownie zacytować jednego z największych papieży (Pius XI.), „jest tak pod jej władzą, że nikt nie odważy się nawet oddychać wbrew jej rozkazom”. John F. Kennedy, który chciał zanegować ten znajdujący się w prywatnych rękach przywilej i stworzyć w miejsce systemu Rezerwy Federalnej państwowy bank emisyjny, został natychmiast zamordowany. Od tego czasu nawet wysoko rozwinięte państwa muszą przekazywać swoją zwierzchność walutową mafijnej kliki, która potrafi bezwstydnie się wzbogacać pomnżaniem pieniędzy i „tworzeniem kredytów” oraz pozbawiać oszczędzających własności. Teraz sięga już po fundusze emerytalne i „trzeci filar”, którego wprowadzenie świętowano z wielkim rozmachem, chociaż nie nadaje się do niczego innego, jak tylko do wyciągania z kieszeni pracowników części ciężko zarobionego wynagrodzenia i „spalania” go w spekulacyjnych interesach marki ENRON lub przy pomocy olbrzymiej inflacji kredytowej. Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Bank Światowy i „banki rozwoju” okazują w tym skuteczną pomoc, czego nie ukrywał przed nami Joseph Stiglitz, laureat Nagrody Nobla, podczas swojego niedawnego wystąpienia we Wiedniu.

„Wolny handel przynosi dobrobyt dla wszystkich”, mówił w lecie podczas ostatniej wizyty w Berlinie George W. Bush, jest on jedynym źródłem dobrobytu („the only source”!). Nie wiadomo, czy jest tylko głupi („Bush is a moron” mówiono podczas szczytu NATO w Pradze we wrześniu 2002), czy może jeszcze ślepy? Nożycy rozwierają się coraz szerzej pomiędzy biednymi i bogatymi. Zniszczenie środowiska przyjmuje formy, które z jednej katastrofy wpędzają nas zaraz w następną. Jeśli chodzi o bezpowrotne marnotrawienie zasobów naturalnych, USA znajdują się na czele. „Globalizacja” czyni z mniej rozwiniętych krajów świata jedną dzielnicę niedzy oraz składowisko złomu i śmieci z całego świata. Na ich bogactwa naturalne i lasy rzucają się hieny, ponieważ „gdzie nie ma pustyni, musi jakaś powstać” (E. Hyams). W krajach, w których „kapitalizm stał się nową religią” (W. Benjamin), nie ma nigdzie organicznego, dopasowanego do zdolności i warunków naturalnych, rozwoju gospodarczego.

To nie wolny handel przynosi dobrobyt, ale rozsądna autarkia. Wiedział o tym Arystoteles, równie dobrze jak Sun Yat Sen, Gandhi tak samo jak Mao tse tung, Theodor Herzl tak jak Mahatir Muhammad. Czy Bush i jego wspaniała asystentka jeszcze nigdy nie słyszeli o „Narodowym systemie ekonomii politycznej” Friedricha Lista, którego radom dotyczącym polityki gospodarczej, Stany Zjednoczone zawdzięczają swój pierwszy rozkwit? Czyżby nie zauwazyli, że narodowosocjalistyczne Chiny ze swoim autorytarnym jednopartyjnym rządem wykazują obecnie w samym środku globalnego kryzysu gospodarczego stopę wzrostu i rozwoju gospodarczego, o których Zachód może tylko marzyć? Zresztą podobnie jak Hitler pomiędzy 1933 i 1938, który, jeżeli wierzyć obiektywnemu, żydowskiemu (!) świadkowi Sebastianowi Haffnerowi, wyprowadził Niemcy z kryzysu, zwalczył bezrobocie oraz zmodernizował gospodarkę doprowadzając do stabilnych cen dzięki swojej polityce autarkii i uczynił z Niemiec mocarstwo. I to w czasie, gdy zachodnie demokracje łącznie z USA leżały w agonii.

Prastara idea autarkii, „zamkniętego” państwa handlowego (Fichte), „narodowego systemu” (List) wywodzi się z koncepcji organicznego lub „prawdziwego” państwa. Obecna bezradna gadanina przedstawicieli rządu, różnych „mówców” przy parlamentarnych pulpitych, polityków i „ekspertów” na temat „reform strukturalnych”

musialaby natychmiast sie skonczyc, gdyby zostala zrealizowana koncepcja „organicznego” panstwa, a tym samym zostalby rozwiazany problem bezrobocia w zglobalizowanym swiecie, gdzie w niektórych panstwach „praca tansza jest od smieci” (H. Afheldt). Koncepcja opiera sie na zlaczeniu wszystkich narodowych sil, pelnej zaufania wspolpracy zwiazków, izb, zwiazków zawodowych zarówno miedzy soba jak i z panstwem. To „partnerstwo społeczne” przyniosla nam pokój społeczny, a nie strach liberalów i niektórych członków Partii Wolnościowej przed zwiazkami zawodowymi, nie „wolny” rynek czy tez nastawione na walke klasowa zwiazki zawodowe.

Koncepcja zlaczenia lub „zamknięcia” jest w kazdym punkcie sprzeczna z teza o „otwartym społeczeństwie”. Kto, tak jak panna Rice lub Bush, plecie o „otwartym społeczeństwie”, ten albo nie wie, o czym mówi, albo uzywa tego terminu, zeby ukryc swoje ambicje do panowania nad swiatem. Oboje siegaja zreszta szczytu obludy, gdy mówia o „moralnej zasadzie wolnego handlu”, równocześnie jednak wprowadzaja cla, zeby chronic przemysl stalowy, podobnie jak ma to miejsce w wypadku rolnictwa, rolnictwie, poniewaz „amerykanscy robotnicy nie moga w zadnym razie ponosic kosztów wolnego handlu” (NSS, punkt VI). Stworzenie granic celnych oznacza „zamknięcie”!

Pojecie „otwarte społeczeństwo”, nie pomoze tu również Sir Popper, jego wynalazca, stanowi *contradictio in adiecto*. Społeczeństwo nigdy nie jest „otwarte”, obojetne czy chodzi tu o rodzinę, plemię, naród, klub, zakład, kościół lub państwo. Gdybysmy chcieli zajac sie najwazniejszym wytworem społecznym, to co mialaby znaczc „otwarta rodzina”? W rodzinie rodzimy sie, mozna wejsc do niej przez malzenstwo lub nalezec do niej dzieki adopcji. W zadnym znaczeniu tego slowa nie jest „otwarta”. Albo czym jest „otwarty naród”? Nie mozna nalezec do narodu zydzowskiego nie bedac zrodzonym przez zydzowska matke. „Zydzi sa przeciez”, jak podkreslil Ariel Muzicant podczas obejmowania funkcji przewodniczacego Izraelskiej Gminy Wyznaniowej, „narodem, i to wyjątkowym”. Należenie do niego jest przywilejem, który nie jest przyznawany nikomu, kto nie jest Zydem. Podobnie jest w kosciele katolickim: moze do niego nalezec ten, „kto wierzy i jest ochrzczony”, dla innych nie stoi on otworem.

Nawet „dobrowolne” zwiazki, takie jak zakład pracy, klub, loza masonska, kółko spiewacze, nie sa „otwartymi” zwiazkami. Nie mozna tak po prostu wejsc do zakladu i powiedziec: „Jestem, chce tu teraz pracowac”. Trzeba zostac przyjetym, a decyzje o przyjeciu podejmuja powolane do tego organy. Innymi slowy, kazde społeczeństwo istnieje tylko dzieki temu, ze oddziela sie od innych, „zamyka” sie i ogranicza sie do kregu swoich członków. Dotyczy to przede wszystkim kazdego narodu, który chce byc jednoscia i chce posiadac swoja kulture, obyczaje, zwyczaje i jezyk.

Co kryje sie wiec pod pojeciem „otwartego społeczeństwa”? W dokumencie strategicznym panny Rice i jej szefa „otwarte społeczeństwo” sluzyc jako zapowiedz walki USA skierowana do swiata, do kazdego „*civitas Dei*” i naturalnie przede wszystkim do wszystkich narodów i państw islamskich, które jeszcze powaznie traktuja swoja religie. Te, które posiadaja najwazniejsze źródła energii tej ziemi, nalezy „otworzyc”, to zdeklarowany cel zalewany potokiem słów o „wartosciach”. Ich przywódcy powinni zostac uległymi, bezwolnymi odbiorcami rozkazów amerykanskej administracji, którzy z cala surowoscia wystapia przeciwko własnej ludnosci. Rząd, który nie je z reki Amerykanów i nie reprezentuje ich wartosci, jest rzadem terrorystycznym i „musi odejsc” - czy to przy pomocy sprzecznych z prawem miedzynarodowym bombardowan, czy tez poprzez tchórzliwe podjudzanie do wojen domowych i prób przewrotów wojskowych. Czasami wystarczy poparcie i przemykanie bliskich CIA

„humanitarnych” organizacji pozarządowych i sekt, żeby, jak korniki, podgryzały trwale rusztowania i rozpoczęły upragnione zmiany w kierunku „free-market democracy”.

Ale ta Strategia Bezpieczeństwa Narodowego nie zostanie zrealizowana. Konflikt izraelsko-palestynski pozwala już dziś zauważyć, że skazana jest ona na niepowodzenie. Terroryzm państwowy jest bezsilny, za każdym zabitym bojownikiem o wolność stoi następnych dziesięciu. Wkrótce żaden Amerykanin lub Izraelczyk nie będzie mógł poruszać się bezpiecznie za granicą, żaden z ich samolotów nie będzie startował bez zagrożenia. Ich ambasady już musiały zamienić się w twierdze, sąsiadujące ulice zostały zamknięte, getta stają się coraz większe i bardziej zwarte. Według najnowszych światowych ankiet Amerykanie gwałtownie tracą „image oswobodzicieli”. Już od dawna opór nie umiejscawia się tylko w organizacjach terrorystycznych. Nawet politycy z tak słabym kregosłupem jak kanclerz Schröder lub minister spraw zagranicznych Fischer odwagili się teraz, by zdystansować się od amerykańskich „awanturników”. W świetle wojny przeciwko zachodniej dekadencji, „Dżihad przeciwko McŚwiatowi”, coraz więcej zachodnich sił odpowiedzialnych za kulturę decyduje się na „dżihad”, tym samym występując przeciwko terroryzmowi „państw bandyckich par excellence - USA i Izraela” (Noam Chomsky). Przed laty to lewica stworzyła front przeciwko USA i Izraelowi, teraz jest to prawica. Również Rosja, Chiny, Indie, Daleki Wschód i północna Afryka podążają swoimi własnymi drogami, a te wszystkie nie prowadzą do Waszyngtonu czy Tel Awiwu. Powoli tworzą się „os Paryż-Berlin-Moskwa” (JUNGE FREIHEIT z 2.12., nr 50/02, str.16) wkrótce na pewno przedłużona do Pekinu, pokazuje zupełnie inny kierunek.

Wartości nie podążają za siłą militarna, są „wpisane” przez Stwórcę za każdym razem na inny sposób w serca narodów i ich kultur. „Culture matters”, taki ma tytuł najnowsza książka wydana przez S. Huntingtona, w której do zaakceptowania jest jedynie tytuł, jej treść natomiast stanowi ideologiczną pożywkę dla Narodowej Strategii Bezpieczeństwa. Jednak da się z niej również wywnioskować, że porządek wartości nigdy nie jest demokratyczny, ale uporządkowany jest hierarchicznie, powstaje „odgórnie” i jest ostatecznie natury religijnej. Tu należy również szukać powodu, że to „przy pomocy religii czci się Boga i religia jest tym, od czego zależy dobro społeczeństwa”, a nie od wolnego handlu. Ale tego zdania Leona XIII. nie zrozumie nigdy na pewno ani Bush ani jego panna do bosz. Przez swoją „strategię” są oni oraz ci, którzy ich słuchają, współwinni „Śmierci Zachodu” (Pat Buchanan). „Strategia” ta jest pożywką dla nienawistki, która dociera ze wszystkich stron do USA i przyspiesza jej rozkład – Arthur Schlesinger mówi o „decomposition of America”. Dokument strategiczny jest, jeśli chodzi o jego treść i jego rozjuszony język, wyrazem wstrząsu i niepewności, których doznały kierownicze gremia po 11 września.

*Docent Dr. Friedrich Romig wykladał ekonomię polityczną we Wiedniu, Grazu i Akwizgranie. Jego najnowsza książka: Prawa narodów (wydawnictwo Stocker Graz, 2002).*